ABC literacko-artystyczne

Stały dodatek tygodniowy pod redakcją Stanisława Piaseckiego

Rok III. | Niedziela 25 listopada 1934 r. | Nr. 49

Zdzisław Broncel

Spowiedź polonisty

Kiedy po przeczytaniu artykułu prof. Kołaczkowskiego w „Marchołcie“ o potrzebie reformy studjów polonistycznych i po wysłuchaniu odczytu prof. Doroszewskiego, przeciwstawiającego się wystąpieniu Kołaczkowskiego, zabrałem się do rozmyślań nad bezładem i szkodliwością systemu pracy na uniwersyteckiej polonistyce, spostrzegłem niespodziewanie, że jestem w teorji przeciwnikiem hegemonji językoznawstwa, a w praktyce—niemal, że wyznawcą. I to nawet mimo szkód, jakie mi wyrządził nieracjonalnie ułożony program egzaminów językoznawczych.

A intencja rozmyślań była przecież wyraźnie anty - językoznawcza. Wszakże idzie o wydostanie się spod naporu gramatyk, o zrzucenie choć jednego z ciężarów, gnębiących studenta przez kilka lat, dręczących najpierw wyrzutem sumienia, potem mordęgą przedzierania się przez cyrylickie teksty, a wkońcu gorzkiem poczuciem, że zmarnowało się parę lat pracy. Egzaminy zdawane chaotycznie, odrywające jednak od studjowania historji literatury, pochłaniają nieproporcjonalną ilość energji studenta i w praktyce zawodzą zamierzenia profesorów - językoznawców, nie dając prawie nic. Przepisanie egzaminów w programie nic pomoże, gdy student nie ma ambicji złożenia ich z najlepszym wynikiem. Na polonistyce zaś panuje zasada zdobywania ocen bardzo dobrych z historji literatury i nie wyżej dostatecznej oceny z gramatyki historycznej i starosłowiańskiej. Ocena wyższa uważana jest za rozrzutne szafowanie czasem i wysiłkiem.

A jednak — niełatwo nawet w wyimaginowanej roli reformatora polonistyki zdecydować się na skreślenie jakiejś pozycji językoznawczej. W teorji, przynajmniej w teorji, tworzą one pewien system, mają swoje znaczenie. I dopiero wspomnienie praktyki przyspiesza decyzję. Rzeczywistość studjów, granica czterech lat, przypominają, że zmiana jest konieczna. Konieczne jest podniesienie poziomu przygotowania historycznego i filozoficznego. Estetyka, psychologja, historja kultury muszą zdobyć sobie miejsce kosztem językoznawstwa.

Ale uderzające — jak trudno rozpocząć wojnę z gramatyką, nawet przeszedłszy przez wszystkie gramatyczne cięgi; czyż można więc spodziewać się po naszych językoznawcach, że zechcą dobrowolnie zmniejszyć swoje dziedziny?

Oto dlaczego trzeba uczynić publiczną spowiedź i jak dokument sądowy dać rozwijającej się dyskusji o reformie polonistyki zeznanie „naocznego świadka“. Materiał faktów.

Niech spór oprze się o rzeczywistość, niech polemika nie poprzestanie na oderwanem roztrząsaniu, jaką wartość i stałość ma ta lub inna dyscyplina naukowa, ale niech spróbuje wreszcie odpowiedzieć na pytanie: — jaką wartość praktyczną ma obecny program studjów. Dlatego właśnie zabieramy się do przeglądu owych praktycznych wartości. Prościej — czego polonistyka w pierwszym okresie studjów (rok pierwszy i drugi) może nauczyć?

Pamiętam — początek był rokiem rozpaczy. Po rozkołysaniu poezją romantyczną, po wzruszeniach Żeromskiego, po dyskusjach w nieodzownem kółku literackiem każdej „ósmej gimnazjalnej“ dostaliśmy się w bezduszny męt uniwersytetu. Nie chciało się spoczątku wierzyć, że wyliczone w rozporządzeniu min. W.R. i O.P. egzaminy istnieją naprawdę. Że czeka nas gramatyka historyczna, gramatyka języka staro - cerkiewno - słowiańskiego, poznanie greckiego, proseminarjum językowe, seminarjum językowe, praca seminaryjna językowa, praca piśmienna pod nadzorem...

Pierwszy krok na polonistyce—kolokwjum z fonetyki polskiej i zapisanie się na ćwiczenia proseminaryjne. Jest to odrazu strata czasu, wymyślona chyba na utrapienie asystenta i studenta. Kolokwjum jest dziecinnie łatwe, a trudność jest trudnością zapewnienia sobie terminu i załatwienia formalności. Możnaby to włączyć z powodzeniem w program samych ćwiczeń. Ćwiczenia zresztą nie przygotowują do egzaminu z gramatyki opisowej i prowadzone są raczej tak, jakby już ją wszyscy znali. Na ćwiczeniach mających legendarną złą sławę u polonistów, — to znaczy opinję narzuconej straty czasu, nikt prawie nie uważa. Są inne zmartwienia. Trzeba przygotowywać egzamin z języka staro - cerkiewno - słowiańskiego i uczyć się cyrylicy. I uczyć się równocześnie alfabetu greckiego i poznawać także gramatykę grecką.

Przez polską gramatykę opisową większość przechodzi lekko. Przy staro - cerkiewnym następują załamania. W tym momencie student spostrzega się, że musi na dłuższy czas porzucić zainteresowania literackie, zrezygnować z lektury i całkowicie poświęcić się w tym roku i w przyszłym — językoznawstwu. Jedyną łącznością z literaturą pozostaje proseminarjum historji literatury, gdzie czterystu uczestników próbuje pracować „pod kierunkiem profesora“ dwie godziny w tygodniu.

Staro - cerkiewny już opanował studenta. Lecz nie odwrotnie. Student błąka się po omacku, traci czas — musi poznawać obcy język, nie mając alfabetycznie sporządzonego słownika, nie mając odpowiedniego podręcznika gramatyki ani ułatwionych tekstów. Pierwszego zdania z scs. uczymy się odrazu ze starych rękopiśmiennych zabytków. Nie znam nowej gramatyki prof. Słońskiego, ale obie dotychczasowe: Lehra - Spławińskiego i Łosia były dla polonisty bez pożytku. Jedna napisana niejasno, chaotycznie, druga interesująca, dla polonisty jednak zaobszerna.

Większość kilkakrotnie przygotowuje się do egzaminu. Jedni zaczynają i zniecierpliwieni rzucają robotę, inni stają do egzaminu, otrzymują [illegible] lub ścinają się. Rzadko kto dąży do lepszej oceny, polonistyczne zwyczaje każą oszczędzać siły i czas. W ten sposób wokół egzaminu wytwarza się z jednej strony atmosfera lekceważenia, z drugiej — nastrój zgnębienia, znużenia i nudy. W wyniku egzamin wielu odkłada do lepszych czasów i szuka ucieczki, oddechu w prawdziwem studjum literackiem.

Na marginesie systemu ćwiczeń, egzaminów wyrasta nieoficjalna, tętniąca życiem polonistyka. W „Kole Polonistów“ mnożą się różnorodne sekcje — tu jest życie prawdziwe, tu zagrzebują się w księgach, referują dzieła francuskie, niemieckie, czytają literaturę współczesną, spierają się o poglądy estetyczne, zaciekle, z pasją, niemal aż do obrazy osobistej. Nowy student zbliża się do „Koła“ coraz bardziej, znajduje zespół naukowych przyjaciół, staje się specjalistą pewnego zagadnienia i spokojnie przyjmuje klęski studjów oficjalnych.

Zaległości rosną. Do odrzuconego ze wstrętem staro - słowiańskiego przybywa grecki. Zdanie greki jest wydarzeniem. Opowiada się o tem znajomym, szeroko rozgłasza — a ci przyjmują to tak, jak wyjście z jakiejś przykrej choroby, jak pozbycie się szpecącej ułomności.

Ale zazwyczaj greka dzieli los egzaminu z języka staro-słowiańskiego. Zwlekanie. Wkońcu przychodzi mus — kto chce dostać się na seminarjum językowe, musi mieć zdany przynajmniej jeden z tych egzaminów. Z greckiego szczęśliwie obowiązuje tylko kolokwjum. A raczej chyba loterja. Kto nie zda dziś, przychodzi zdawać za tydzień. Za dziesiątym razem lektor się litował i dawał swój podpis. Uwolniony — pragnął czemprędzej zapomnieć o wszystkiem, co z greki gwałtem wpakował w głowę.

Wskutek odkładania obu egzaminów przygotowanie do gramatyki historycznej przez ćwiczenia seminaryjne i przez poznanie gramatyki greckiej i staro - słowiańskiej stało się fikcją. Zdarza się, że najpierw składają egzamin z gramatyki staro - słowiańskiej, następnie przed ukończeniem seminarjum językowego gramatykę historyczną, później kończą seminarjum, a później jeszcze... zdają grecki. O kolejności egzaminów decyduje nadarzająca się sposobność zepchnięcia jednej z gramatyk. Często bywa, że kandydat na magistra filozofji w najbliższych już dniach, właśnie w ostatniej chwili składa kolokwjum z greckiego. Na listach egzaminacyjnych prof. Słońskiego nieraz znajdzie się nazwisko głośnego w kołach studenckich polonisty, zdobywającego już poważne imię nawet i w świecie literackim. Młodzi poeci, a z wykształcenia poloniści, są tu z reguły maruderami.

Za zmorę równie straszną, jak grecki, uważana jest gramatyka historyczna. Sekunduje jej w tem obowiązek kolokwjum piśmiennego z seminarjum językowego. Znam zdolnych polonistów, którzy ową pracę klauzurową pisali po sześć, po osiem razy! Oczywiście przyczyną jest zamęt, panujący w przygotowaniu językoznawczem. Praktyka od teorji odbiegła tak daleko, że nie można już nawet powoływać się na konsekwencję w samym programie.

Na tle tego — rzecz dziwna — gramatyka historyczna dała mi materjał do bardzo interesującej pracy i interesującego egzaminu. Wydało się, że zaczynam poznawać bajkę. Rodowód słów krył w sobie niemal powieści, całość była tyloma węzłami złączona z historją kultury, odczułem tak silnie wzrastające zbliżenie do samego jądra polszczyzny, że nie zawaham się nazwać nawet i rozkoszą pewnych chwil, spędzonych przy tej pracy. Oczywiście były i inne, przykre.

Przypuszczam, że w tem tkwi tajemnica tego wrażenia, że przed rozpoczęciem pracy przygotowawczej powtórzyłem w zarysie gramatykę staro - cerkiewno - słowiańską i polską gramatykę opisową. Niewątpliwie, gdyby inaczej postawić wymagania, gdyby zespolić gramatykę historyczną z rozwojem naszej kultury, wydobyć wpływy epoki, mogłoby to być zadanie na studjum literackiem ciekawe i pożyteczne.

Środki? Po pierwsze—na pierwszym roku podnieść ilość ćwiczeń językoznawczych do czterech godzin tygodniowo (kosztem greckiego), po drugie — złączyć egzamin z polskiej gramatyki opisowej z egzaminem z polskiej gramatyki historycznej i wyznaczyć go na koniec roku. Po trzecie — skreślić grecki, egzamin z języka staro - cerkiewno - słowiańskiego zamienić na kolokwjum z systemu gramatycznego starosłowiańskiego i wreszcie, najważniejsze, poprowadzić ćwiczenia tak, ażeby uczyły historji polszczyzny i przygotowywały do swobodnego czytania i komentowania dzieł polskiej literatury średniowiecznej i renesansowej. Temu możnaby jeszcze poświęcić osobno ćwiczenia na drugim roku.

Jakież dziś mamy pożytki z olbrzymiej aparatury językoznawstwa? Niedawno spytałem się pewnego polonisty, wysoce cenionego przez profesorów, co też pamięta z greckiego? Do czego przydał mu się grecki?

Odparł, że będąc niedawno w Grecji, mógł przynajmniej czytać zabytkowe napisy. I rozumieć? Nie, nie rozumiał.

— A czy egzaminy językowe i ćwiczenia dały możność swobodnego czytania staropolszczyzny?

— Nie. Jeśli potrafię słowo staropolskie przełożyć na współczesne lub wytłumaczyć, zawdzięczam to osobistej pracy. Na seminarjum nikt nic nie umiał i każdy starał się tylko uniknąć odpowiedzi.

Tak wygląda wynik bezpośredni dzisiejszej organizacji działu językoznawczego polonistyki. A jest jeszcze wynik pośredni. Znaczna ilość czasu poświęcona językoznawstwu sprawiła, że wymagania np. w historji Polski są poniżej poziomu szkoły średniej. Pierwszy lepszy student z trzeciego roku studjów przyzna się, że na uniwersytecie, mimo zdanego egzaminu, wie z historji mniej, niż wiedział przy maturze. Jeżeli ów student zdał egzamin z historji literatury, to ma zaległości językowe paraliżujące dalszy bieg studjów, jeżeli uporał się z językoznawstwem, to stwierdza, że historji literatury, —podobnie jak historji Polski—więcej umiał w szkole, niż dziś.

Po dwóch latach studjowania —historji literatury! Absurd jest nazbyt oczywisty, by go można było nie dostrzec. Studenci — poloniści mają prawo, mają — w imię dobra polskiej polonistyki— obowiązek zarzucić wyższym uczelniom — złą, marnotrawną, szkodliwą organizację studjów.

Jeżeli kto spróbuje argumentować, że są przecież od początku ćwiczenia proseminaryjne z historji literatury, że jest seminarjum pod kierunkiem profesora— znajdziemy w odpowiedzi argument prosty. Konfrontację z życiem. Doświadczenie. Pójdziemy odwiedzać sale uniwersyteckie i zbadać warunki techniczne studjów, stwarzające parodję pracy naukowej. Dla przedsmaku starczy przypomnieć cyfrę np. 400 uczestników ćwiczeń.

„Bije godzina polonistyki“ — taki tytuł artykułu znalazłem niedawno w jednem z pism. Jeżeli tak jest istotnie, to dyskusja nad stanem polonistyki na uniwersytetach jest nakazem chwili, wołanie o reformę, o rewizję stosunku do zadań polonistyki i do metod jej nauczania staje się obowiązkiem publicystów, stojących na straży kultury.

Antoni Wysocki

O Gabrjeli Zapolskiej

Wspomnienie

Pochodziła z ziemiańskiej rodziny na Wołyniu, wychowała się w pałacu, ale gdy jako młodziutka mężatka opuściła swego pierwszego męża Śnieżko - Zapolskiego, starego birbanta, znalazła się zagranicą, potępiona przez opinję swego poprzedniego środowiska i prawie bez środków materjalnych. W Poznaniu zaangażowała się do teatru, zaczęła pisać, a skoro, naprzód jej korespondencje do pism warszawskich, a później utwory powieściowe zyskały rozgłos i poczytność, wróciła do kraju.

Była bardzo piękna.

Żadna fotografja, ani dwa portrety malowane przez świetnych malarzy: Francuza Serisiere'a i drugiego jej męża Stanisława Janowskiego, nie mogą oddać migotliwej zmienności wyrazów jej twarzy i przejmujących błysków jej oczu żółtych, tygrysich. Długie, czarne włosy, przemalowane na rude, podkreślały oryginalność jej urody. Ubierała się modnie, z paryska, co w ówczesnych stosunkach Krakowa i Lwowa robiło wrażenie ekscentryczne. Zamiłowanie piękna przejawiło się w urządzeniu mieszkania. Salon jej wyglądał jak minjaturowe muzeum.

Każdy sprzęt mieszkania zwracał uwagę swem pięknem interesującem i szczególnem. Obrazy syntetystów francuskich, fascynujące egzotyzmem dalekich wysp. Białe mebelki z zniewieściałej epoki rokoka. Prymitywna chłopska jadalnia bretońska, chińskie bronzy i cacka porcelanowe, wszystko, aż do szpinetu, na którym akompanjowała sobie do śpiewu sentymentalnych piosenek francuskich, było dla jej osoby tłem niezwykłem, czarującem.

I bardzo odpowiedniem.

Podobnie jak Helena Modrzejewska wywierała Zapolska niezwykłe wrażenie urokiem postaci i melodją głosu. Tylko, że Modrzejewska była jak Antygona majestatyczna i posągowa, a Zapolska, pełna nieposkromionej żywości miała w rozmowie i uśmiechu swawolność chochlika.

Ta żywość najwydatniej wyrażała się w tempie jej techniki pisarskiej.

Pisała bez bruljonów i notatek, przygodnie, niejako za nawiasem istotnych pragnień.

Była aktorką.

Role jej w „Paryżance“ Becka, żonie Egdala w ibsenowskiej „Dzikiej kaczce“ i w bulwarowej komedji „Bovbovroche“ swym jaskrawym, a jakże racjonalnym realizmem, były godną antytezą idealistycznych kreacyj Modrzejewskiej, jako Marji Stuart i Amelji.

Mówi się o Zapolskiej, jako autorce, a zapoznaje się jej działalność pedagogiczną, jako aktorki, kierowniczki szkoły dramatycznej i założycielki pierwszej w Polsce, w Krakowie, „wolnej sceny“. Dziś, gdy teatry coraz więcej nabierają cech przedsiębiorstw handlowych, ta „wolna scena“ Zapolskiej, na najwyższym poziomie repertuaru i wysubtelnionej grze aktorów, prowadzona bez jakichkolwiek subwencyj, wydaje się ideałem nie do urzeczywistnienia. Natchnieniem jej i wzorem był Teatr Antoine'a. Mówiła to szczerze, pisała o tem w listach i kilku feljetonach.

— Lata już minęły —pisała,— gdy w Paryżu, na wzgórzu Montmartre, w fatalnej, ohydnej salce jakaś trupa, złożona z amatorów, którzy pojęcia o usankcjonowanej grze nie mieli, pod egidą Andrzeja Antoine'a, ubogiego urzędnika gazowni miejskiej, dała pierwsze przedstawienie Sceny Niezależnej (Teatr libre), przedstawienie, na którem z widowni te myśli, które mają prawo, aby, jak mówi czarująco Norwid, „nadlecieć na widnokrąg“, biły skrzydłami o serca i dusze widzów. Jakiemi wysiłkami doszło pierwsze przedstawienie do skutku, nie zatroszczył się nikt. Gdy mi później opowiadali Antoine i oni, ci pierwsi jego współpracownicy, te rozczulające wysiłki, te ofiary poprostu ich ubożuchnych kieszeni, podziw ogarniał i wielki bezbrzeżny szacunek dla nich, że nie zwątpili i że mimo wszystko szli dalej przebojem, oni czyści w intencji i czynie śród stadnych zwierząt, głodnych, sprzedajnych, a więc chciwych łaskotliwych wrażeń. I ta właśnie czystość intencji i piękna linja Antoine'a i jego gromadki sprawiła, że prasa zaczęła interesować się spoczątku łaskawie, a później już z całym zapałem wzięła w obronę jasność pięknych uniesień, doskonali pisarze przyszli z pomocą swych dzieł, pierwszorzędni artyści uznawali za zaszczyt, skoro dozwolono im brać udział w współgrze. — Gdy przybyłam do Antoine'a dla grania w Simone Gramonta, zastałam na czytanej próbie w salkach na Rue Blanche Emila Zolę, Gouncourt'a, Catulle Mendez'a, Kamila Lemonier, Masseneta i tłum innych wielkości. Pomiędzy nimi Antoine prowadził swe dzieło z tą wielką siłą jakąś, oddziałującą hipnotycznie na tłumy. Wszyscy go już słuchali, wszyscy mu ulegali, bo był to c z ł o w i e k i d e i, nie handlarz swej wiedzy i miłości dla sztuki. Teatr prędko zyskał podstawę istnienia. I rozpoczęła się procesja tych, którzy się prawdziwe teatrem interesują. Tout Paris defilował. Nie ten snobów i pustych głów strojnych i do niczego, —lecz ten prawdziwy Paryż piękna, sztuki, nauki, wiedzy, rozumu i serca.

O takim teatrze marzyła Zapolska i gdy z Krakowa przeniosła się na szerszy teren do Lwowa, rozpoczęła przygotowania. Zapraszała autorów i krytyków na narady, przerabiała role z utalentowanymi adeptami gry scenicznej: Różą Łuszczkiewiczówną i Edwardem Osmólskim, wynajęła salę. Ale, niestety, na rywalizację z teatralnym szychem i sensacją nie starczyło jej sił i zdrowia, zachorowała i dla leczenia się musiała przebywać w samotności.

Wtedy napisała tragifarsę „Moralność Pani Dulskiej“. Myślała o tych, którzy nie pomogli w jej wzniosłych zamiarach, o tandecie uczuć, o „menażerjach“, zaliczając do tej menażerji nietylko Dulskich, ale wogóle zoologiczne okazy ludzkie. Z wszystkich postaci w swych utworach rodzaj Dulskich przeżyła najintensywniej. Ukazali się raz jeszcze spod jej pióra w nowelach „Pani Dulska przed sądem“ i „Śmierć Felicjana Dulskiego“.

Rezultat tragifarsy był taki, że wielu widzów zobaczyło na scenie siebie. Po premjerze autorka otrzymywała obelżywe anonimy. Inaczej tylko zachował się „autentyczny“ Dulski, arystokrata z Ukrainy. Przysłał pani Gabrjeli kwiaty i cukry. Drugiego dnia przedstawił się. Miły, starszy pan, prosił, aby uwierzyła, że...

— nie wszyscy Dulscy tacy...

OSCHŁA JUŻ ZIEMIA, OSUSZMY ŁZY...



Czy w Twoim lokalu wisi nalepka, świadcząca, że opodatkowałeś się na rzecz powodzian?

Alfred Jesionowski

W pogoni za przygodą

I. PRZYGODA NA JACHCIE

Jakiś literat-odludek otrzymuje wbrew swej woli i ochocie od jakiejś babiny prezent w postaci szkatułki. Dokument, znajdujący się w szkatułce, staje się powodem emocjonujących przygód literata i jego towarzysza, który chciał spędzić swój miesiąc wakacyj zdala od cywilizacji. Dokumentem tym zainteresował się także pewien zrujnowany arystokrata włoski, spodziewając się poważnych korzyści materjalnych. Dokument bowiem określał miejsce zatonięcia okrętu, bogatego w skarby. Rozpoczyna się walka w sposób typowo angielski i typowo włoski, t. zn. z jednej strony prowadzona z niezwykłą energją, ale spokojnie, niemal flegmatycznie, z drugiej ogniście, zawadjacko, okrutnie.

Fabuła nie jest nowa, czytywało się podobnych powieści już sporo, ale przeprowadzona jest zajmująco. Pierwiastek detektywistyczny połączony jest z subtelnie ujętą historją miłosną (walka toczy się nietylko o ów dokument, ale równocześnie o rękę „pięknego dziewczęcia“ z jachtu „Taormina“). Romantycznie usposobiona dziewczyna gardzi okrutnym i chciwym Włochem, pełną sympatją zaś darzy literata, któremu dwukrotnie ocala życie — i ostatecznie doprowadza do szczęśliwego finału. Charakterystyki poszczególnych osób wypadły udatnie, psychologicznie wiernie, mimo pewnego patosu romantycznego. Świetne opisy przyrody przeplatają zręcznie prowadzoną fabułę (burza na morzu, opisy wybrzeży rybackich, badań podmorskich).

Książka [1]) nie jest arcydziełem, ale czytuje się przecież nietylko arcydzieła. Miłośnik sportów wodnych, przygód romantycznych, amator subtelnego humoru przeczyta tę powieść z przyjemnością.

II. ŚLADAMI „ARMJI PODZIEMNEJ“

Zupełnie innego rodzaju przygody znajdziemy w ciekawej książce Majora Gusthal [2]), przygody ponure, pełne wyrzeczenia i bohaterstwa lub determinacji, przygody płynące z płomiennego patrjotyzmu lub niskiej chęci zysku i używania. Historje szpiegowskie, o ile są prawdziwe, stanowią lekturę zajmującą i pouczającą. Najbujniejsza fantazja nie wymyśli takich przygód, jakie się stają udziałem przeciętnego nawet szpiega. W historjach tych śledzimy znaczny odcinek polityki międzynarodowej, polityki zakulisowej, naogół ukrytej przed oczami przeciętnego obywatela, tu dopiero zaczynamy przeczuwać, jak wielką grą jest polityka. Walka szpiegów poszczególnych narodów, to często walka wybitnych mózgów, to zguba lub ocalenie całych armij podczas wojny, to krok naprzód w polityce pokojowej na wypadek wygranej, a czasem przyczyna wielkich strat moralnych lub materjalnych, gdy się akcja nie powiodła lub za wcześnie została zdemaskowana.

Przygody szpiegów uwydatniają w wyjątkowo jaskrawy sposób charakter tego narodu, do którego szpieg należy. Porównanie roboty szpiegowskiej Niemca, Francuza czy Anglika jest niezmiernie pouczające, pozwala ono bowiem wyspecyfikować i zindywidualizować cechy dodatnie i ujemne charakteru narodowego, uwypukla zarówno walory jak i brzydkie strony narodów.

W książce komendanta Gusthal'a (Francuza) znajdziemy mnóstwo ciekawych przygód szpiegowskich angielskich, niemieckich i francuskich. Francuz mówi z żalem i zazdrością o wspaniale zorganizowanym wywiadzie angielskim, ale z dumą podkreśla moralną wyższość wywiadu francuskiego, który przeważnie operuje materjałem ideowym i w sposobach walki nie jest tak okrutnie bezwzględny, jak wywiad angielski, ani tak ordynarnie brutalny, jak wywiad niemiecki.

Autor ukazuje nam rozmaite typy szpiegów: zwyczajnych szpiclów i konfidentów, angażowanych dorywczo i nieobeznanych z tajnikami służby wywiadowczej, świetnych organizatorów i wykonawców, asów szpiegowskich, kobiety w służbie szpiegowskiej. Zapoznajemy się w ciągu tych rozmaitych relacyj autora z historją szpiegostwa angielskiego, z jego organizacją, o której francuski autor mówi nie bez pewnej irytacji i bodaj pogardy. O wywiadzie swego kraju mówi Gusthal niewiele, ale stara się być sprawiedliwy. Nie szczędzi władzom miarodajnym we Francji cierpkich uwag i próbuje zrehabilitować ten tak wzgardzony zawód. I trudno autorowi nie przyznać racji. Dlaczegóż bowiem zajęcie to, wykonywane z pobudek ideowych, patrjotycznych, w służbie swego narodu, zajęcie wymagające wyjątkowej wprost odwagi, inteligencji i ofiarności ma być zajęciem hańbiącem? Jest ono hańbiące tylko dla tych, którzy zdradzają własny kraj, oddają się na usługi tej podziemnej roboty dla zysku!

Książka Gusthala przykuwa doborem emocjonujących przygód, napisana jest żywo, zajmująco, z temperamentem iście francuskim. Powieścią, jak to zaznaczono na kartce tytułowej, ona nie jest, bo szereg rozmaitych przygód nie jest wewnętrznie z sobą związany.

III. POLSKA KREW CZYLI AWANTURA NA KIJU

Powieść (tłumaczona z angielskiego) Val Giełguda (ponoć Polaka), p. t. „Stara Szabla“ [3]), mimo pozornej historyczności, jest powieścią awanturniczą, o przygodach pewnego Anglika polskiego pochodzenia, podczas wojny polsko-bolszewickiej. Tak po prawdzie, jest to bzdurna ramota, literacko licho zrobiona, no, i typowo „polska“ z cudzoziemska. Władysław (Anglik) i Michał (Moskal) obaj polskiego pochodzenia, są tak samo polscy, jak Steinbock z „Kuzynki Biedki“ Balzaca, jak i inni „polscy“ bohaterowie genjalnego Honorjusza.

Autor sięga z bardzo daleka, by udowodnić, jak to się krew polska odezwała w wynarodowionych już Polakach. W wielkim (romantyczno-fantastyczno-plastycznym) skrócie kreśli historję rodziny Dolskich, dziadka powstańca z 1863 r., rozstrzelanego przez moskali. Ukazuje później autor, jak to się zruszczył syn starego Dolskiego, i jak, mimo małżeństwa z Anglikiem, córka pozostała Polką, aż dochodzi do historji wnuka starego powstańca, owego warjackiego Michała i do jego angielskiego kuzyna Władysława. Tenże Władysław pod wpływem swej babki (córki starego Dolskiego) zaciąga się w 1920 r. do wojska polskiego, pozostając w służbie i pod komendą angielską. W Warszawie poznaje swego kuzyna Michała, który jako dowódca „Białych Czaszek“, uprawia partyzantkę przeciwko krasnoarmiejcom, gotów jednak każdej chwili zawrzeć z nimi przymierze, gdyby pole wyczynów awanturniczych po stronie polskiej stało się za ciasne. Obdarzony dużą siłą fizyczną, odznacza się sadystyczną brutalnością, bandę swą trzyma tylko dzięki wyrafinowanemu terorowi. Z woli własnej przydzielono Władysława jako łącznika do Michała, celem obserwowania go. Niestety, Władysław swej misji spełnić nie może, jakkolwiek miałby materjału dość, bo Michał nie pozwala mu na żaden samodzielny krok. Dochodzi do awantury o żonę Michała, w pojedynku Władysław robi z Michała kalekę, wreszcie po rozgromieniu bandy „Białych Czaszek“ przez bolszewików udaje mu się uciec z żoną Michała.

Ufff!!!... To-ci dopiero polska powieść. No, a ta „polska krew“ — to tęsknota obu wynarodowionych „Polaków“ do rodzinnego dworku, polska szlachetność, rycerskość — no i to wszystko, co dobrze znamy z innych podobnych powieści „polskich“ autorów cudzoziemskich. (Jeden Omer-Neveux ze swoim „Białym dworkiem“ stanowi wyjątek).

Byłby naprawdę czas, by szanowni autorzy zagraniczni, nim się zabiorą do pisania „polskich“ powieści, trochę postudjowali, sumienniej obserwowali, starali się naprawdę jeśli już nie zgłębić — to przynajmniej poznać zgrubsza psychikę polską.

Amator poematów heroikomicznych będzie miał sporą przyjemność z lektury tej książki.

[1]) J. Strang-Morrison: Piekne dziewcze z „Taorminy“. Przekład J. Sujkowskiej. Rój. Nowa Serja. Warszawa 1934. Str. 229.

[2]) Commendant Gusthal: Bohaterowie bez chwały. Powieść(?). Rój. Serja Nowa. Warszawa 1934. Str. 178 i kilkanaście stronic reklam.

[3]) Val Gielgud: Stara szabla. Przekład: L. Orłowskiej. Rój. Nowa Serja. Warszawa 1934. Str. 203.

Marja L. Krüger

Oddam dziecko na własność

Meble — duży wybór. Komplety, pojedyncze sztuki. Tapczany, kozetki. Jadalny palisandrowy. Graniczna szesnaście.

Odkurzacz elektryczny „Elektrolux“ zupełnie nowy okazyjnie sprzedam. Wiadomość Hotel Litewski, od 5 — 6.

Oddam dziecko na własność. Chłopczyk czterotygodniowy, ładny, zdrowy. Pańska 87 m. 49.

Przez ulicę Pańską przechodził Jan Zawirski urzędnik. Zofja Malinowska żona woźnego, Stanisław Łabuda kelner, Anna Kozłowska żona woźnego, Stanisław Łabuda kelner, Anna Kosówna studentka medycyny, Marcelowa Sedyk posługaczka, Jan Bogiel z gazowni, Irena Jóźwiak prostytutka, Stefan Kowalski monter bezrobotny i jeszcze inni i jeszcze, i jeszcze. Mijali bramę nr. 87 przy ulicy Pańskiej.

W bramę nr. 87 przy ulicy Pańskiej od rana wchodzili — Serafin Szczepanik śmieciarz, Stefan Wiśniewski tramwajarz, Chil Leben handlujący, Eleonora Fatygowa żona szewca, Rudolf Horn buchalter, Raja Grynowa dentystka, Walerja Chrobowska kamizelczarka, Józef Rymer pracownik piekarski, Apolonja Kanapusowa praczka i jeszcze inni i jeszcze inni.

Po schodach szli na czwarte piętro i w korytarzu drzwi mieszkania nr. 49 mijali — Apolonja Kanapusowa praczka przechodziła 4 razy, Józef Rymer pracownik piekarski 2 razy przechodził, Eleonora Fatygowa żona szewca 3 razy i raz się nawet zatrzymała przed drzwiami nr. 49, ale tylko zawiązała sznurowadło i poszła dalej, Walerja Chrobowska 1 raz. I jeszcze minęli drzwi: Stanisław Herz czeladnik rzeźnicki, Helena Neś prasowaczka, Antoni Sójko tragarz i Aurelja Zofja Rejkówna wykończarka.

Pukali pod nr. 47, 48, 50, 51 i 52.

Za drzwiami jednoizbowego mieszkania nr. 49 czekali: Teodora Serowik — bez zajęcia, Leon Matuszewski — właściciel mieszkania, metalowiec bezrobotny, Konstanty Sadowski — szofer.

Czekali od ósmej rano. Nikt a nikt nie stukał do drzwi. Ani za klamkę nikt nie brał. O dwunastej w południe ktoś szedł korytarzem. Słuchali — Teodora Serowik, Leon Matuszewski i Konstanty Sadowski.

Ktoś się zatrzymał pod drzwiami.

Teodora przy drzwiach z drugiej strony bez oddechu stanęła, poprawiła sukienkę zieloną szewiotową, na piersia[illegible] za[illegible]asną. Leon z łóżka się podniósł, kapę podciągnął, Sadowski słonia fajansowego z komody wziął w rękę i oglądał.

Klamka się poruszyła.

Serowik patrzała na nią. Nietrafiającą ręką otworzyła drzwi nr. 49.

Do mieszkania wszedł Karol Ryc.

Teodora Serowik zamknęła drzwi. Matuszewski usiadł przy stole, Sadowski postawił słonia.

— Bodajeś zdechł — pomyślała Teodora Serowik. Na sukience wystąpiła plama z mleka.

Matuszewski i Sadowski w milczeniu podali rękę.

Karol Ryc zapytał — no i co? I nic. Czekają.

Na pluszowej serwecie na stole, rozpadła się talja kart. — Dwadzieścia, drugie dwadzieścia — w sześćdziesiąt sześć grali: Matuszewski, Sadowski, Ryc.

Czuć było mlekiem i czemś kwaśnem.

Teodora, kiedy zaczynało się rozlegać miaukliwe, gardłowe piszczenie, nalewała do butelki cukrzonej wody z mlekiem, starą koszulę Matuszewskiego darła na pieluchy, a zapaskudzone rzucała w kąt. Kiedy było cicho — siedziała z rękami założonemi na brzuchu.

Na schodach, w korytarzu, co chwila słychać było kroki a potem pukanie do drzwi nr. 47, 48, 50, 51 i 52.

Za dwadzieścia trzecia znów klamka się poruszyła. Teodora Serowik niemrawo do drzwi szła. Kiedy je otworzyła — stała w otwartych naprzeciwko osoby, która zapytała: czy tu jest dziecko do oddania na własność?

Teodora dwa razy kiwnęła głową i uśmiechnęła się przypochlebnie. Drzwi zamknęła i zapatrzyła się na tryndy-lafiryndy futrzany żakiet.

— Czyje dziecko?

Teodora Serowik wtedy wzięła dziecko na ręce i powiedziała że to jej. Rozwinęła z chustki, z pieluch i położyła sobie nagie na kolanach.

— A na jakich warunkach chce je oddać?

Matuszewski dziesięcioma sercami — czerwienną dziesiątką karty Sadowskiego i Ryca przebił i krzyknął od stołu:

— Co za warunki? Żadnych warunków. Bierz pani dziecko i koniec.

Na Teodorę Serowik z galanterją ręką pokazał. — Ta pani żadnych pretensyj mieć nie będzie i o dziecko się nie upomni. Nawet wiedzieć nie potrzebuje, gdzie je pani zabiera i kto pani jest.

Konstanty Sadowski kilka kart ciągle tasował. Odezwał się po Matuszewskim, — że tylko jeszcze do komisarjatu trzeba iść z matką i dziecko przepisać.

— Tylko tyle?

Leon Matuszewski, Konstanty Sadowski i Karol Ryc prędko i grzecznie powiedzieli: — Tylko tyle. To wszystko.

Teodora Serowik uśmiechnięta — ciągle na pokaz dzieciaka trzymała nagiego. Zdrowy jest, na nic nie chorował. Do buteleczki przyzwyczajony — płakać nie będzie.

Plamy z pokarmu robiły się na zielonej szewiotowej sukience coraz większe.

Po raz drugi odezwał się Leon Matuszewski. Że dziecko jest tłuste, śniade, co zdrowie oznacza. A Konstanty Sadowski mówił wesoło, że dziecko ma oczy ładne — niebieskie. Zaś Karol Ryc zachwalił — że sam by za swoje wziął. Tylko że nie może.

No, tak, no, tak. Ale dziecko wziąć, wychować — niełatwo.

Leon Matuszewski na to: — Co niełatwo? Albo to dużo zje takie małe? Albo miejsce zajmie? Gdzie niebądź można położyć. Podrośnie — ubranko z byle czego się zrobi. Dorośnie — sprawi się garnitur raz na rok. Chłopakowi to dosyć. Bo żeby to była dziewczynka, to co innego — pokazać ją trzeba, ubrać. Ale tak?, chłopak? — To szczęście w domu.

Teodora też się odezwała.—Że nawetby sama chowała — ale sposobności niema. Mieszkanie ciasne. I wogóle trudno z dzieckiem. Szczególnie jakby się pracę jaką chciało wziąć. Więc nie sposób. Sprawić sobie teżby trzeba to i owo — a jak przy dziecku?

Dalej — prędko i żarliwie zaczęli mówić o Teodorze — Sadowski i Karol Ryc: — Matka z niej dobra, dbająca, nie taka jak inne. Przecież mogłaby — podrzucić. Albo i — zadusić. A ona nie — w dobre ręce chce oddać.

— No tak, no tak. Ale dziecko wziąć, wychować — niełatwo.

Leon Matuszewski na nowo karty ze stołu zebrał, grzecznie odpowiedział: — Ryzyko jest. Rozumie się. Tylko nie takie wielkie. Jak dzieciak umrze — to trudno. Pretensji nikt nie będzie miał. A pogrzeb dziecinny też nie taki drogi. Ze sto złotych najwyżej. Za to jak wyżyje — to taki skarb, takie szczęście w domu.

— Dowidzenia — dowidzenia.

Drzwi się zamknęły.

Teodora Serowik zmartwiła się. — Cholera namyślać się będzie. I wszyscy czworo pomyśleli — że dobrzeby było, żeby się namyśliła.

To było w niedzielę.

Czekali przez poniedziałek, wtorek, środę, czwartek. Potem jeszcze przez piątek i sobotę. Czekała Teodora Serowik i ci trzej.

W niedzielę widzieli Karola Ryca na Krochmalnej.

W poniedziałek szła przez Krochmalną Teodora Serowik z dzieckiem na ręku.

Dziecko do oddania na własność. Chłopczyk pięciotygodniowy, ładny, zdrowy. Krochmalna 46.

Gdzie? Na lewo z podwórza. Natalja Filipowska, wdowa.

Natalja wdowa ciągle drzwi otwierała, ciągle ktoś przychodził.

Z samego rana Ksawera — dowiedzieć się czy czego dla niej niema. Potem Antonina się przywlekła z brzuchem zbandażowanym — do zajęcia szła, przyniosła dwadzieścia złotych. Po niej — Kazimiera zmizerowana, skamlająca — żeby jej prędzej coś znaleźć, — żeby prędzej umieścić. I jeszcze była Lucyna i Helena, brzuchata, już, już pękająca.

Potem znów ktoś przyszedł.

— Dziecko?, dziecko do oddania? Aha, aha — to tu.

Natalja Filipowska wdowa do pokoju wielkiego a zarazem kuchni bardzo grzecznie prosiła, podsunęła krzesełko.

— Jakie, które dziecko? Chłopczyka? Brunecika czy jasnego? Z niebieskiemi oczami?

Pokazywała w kolejności — do wyboru.

Na wysoko zasłanem łóżku — chłopczyk jeden, półroczny. Odkryła całego do obejrzenia. — Z ojca pięknego — zachwaliła Natalja Filipowska. Obok dwumiesięczny w mokrem leżał — cichy, niepłaczący. Suchy gałgan [illegible] podetknęła — zapewniała że będzie blondynek.

Pięciotygodniowy na drugiem łóżku jakoś skrzeczał — pańskie dziecko — powiedziała przy nim bardzo dystyngowanie wdowa Natalja Filipowska, — panna dobrej rodziny z wyższym urzędnikiem go miała.

Potem zapytała, — a [illegible] cże po[illegible] zebny dwumiesięczny [illegible] — to jest taki. Matka może go przynieść. A może dwudniowy?

Dwudniowy spał na trzeciem łóżku pod ścianą, [illegible] Florenty[illegible] matce. W pościeli, na [illegible] Florentyna z introligatorni, pokryjomu rodzęca.

Natalja Filipowska zapobiegliwie, troskliwie pytała, proponowała — jak nie chłopczyk to może dziewczynka lepiejby się nadała? Zaraz pokazała te co były. Rozwinęła jednomiesięczn[illegible], krzyczącą z pachwinami jak rany czerwonemi, wyjęła z chustki i z gałganów trzymiesięczn[illegible] z matki inteligentnej i odkryła trzecią — dużą i tłustą, co miała cztery miesiące a wyglądała na [illegible]siem.

Jeszcze jedną pokazała [illegible] ż zamówioną.

Zamówioną kar[illegible] też zamó[illegible] a już Rozalja. [illegible] grubych rozkraczonych od siedzenia na [illegible] stołku [illegible] położyła d[illegible]ko. Przyjemnie [illegible] myśl[illegible] że swojego już nie ma. I że od jutra zgodziła się na Chłodną na karmicielkę. Tylko Filipowskiej za to wszystko winna trzydzieści złotych. — Ścierwica dopiero — pomyślała Rozalja o wdowie Natalji Filipowskiej i zestrzyknęła trochę swojego mleka na podłogę.

Wdowa Natalja Filipowska dalej grzecznie zapewniała: — Jak się żadne nie podoba, to jeszcze inne mogą być. Zawsze do wyboru coś się znajdzie. — Mówiła głośno i prędko że każde analizę krwi ma robioną, więc napewno wszystkie są zdrowe.

Potem wdowa Natalja uśmiechnięta przepraszała i znów co chwila drzwi szła otwierać.

Feliks po gotówkę przyszedł za to, co to Filipowska Natalja wie. Janina — o swojego dzieciaka się dopytywać. Julja Belcerowa kolejarka — dziecko sobie wybrać. Żabinka — z wiadomością że Walentyna rano, w zakładzie chłopca urodziła.

I Jadwiga przyszła. Skamłała, zaśliniona, pociągała nosem — gdzie jej mała?

Wdowa Natalja z góry na nią — że nie pamięta gdzie które dała. Sama się Jadwiga naprasza[illegible] żeby gdziekolwiek umieścić, żeby o niczem nie wiedziała. Za te głupie dwadzieścia pięć złotych.

Jadwiga płakliwie się przema[illegible]. Natalja Filipowska zatrzasnęła drzwi.

Śmierdziało w pokoju mlekiem kobiecem, pieluchami i zepsutą krwią.

Wdowa Natalja Filipowska, trochę zniecierpliwiona, chropawym głosem uprzejmie zapytała które dziecko się podoba. Polecała za tanie pien[illegible]ze pięcio-tygodniowego chłopczyka.

Leżał na wysoko zasłanem łóżku. Już nie syn Teodory Serowik i [illegible] a Matuszewskiego, albo [illegible] że Konstantego Sadowskiego, albo Karola Ryca. Poprostu:

Dziecko do oddania na własność. Chłopczyk pięciotygodniowy, ładny, zdrowy. Krochmalna 56.

Stanisław Młodożeniec

Lichot i Srul

Związany z życiem rodzinnej ziemi wyczułem, zdaje się, jej nie powszednią, trapiącą ranę. Upewniam się nawet w przekonaniu, że trafiłem na wrzód, który trzeba odważnie wycinać z organizmu polskiego życia.

W niektórych wierszach, a ostatnio w dramacie p. t.: **Wiater**, oświetlam kompleks naszych spraw, które nazwałbym „lichotyzmem“.

Z całą świadomością rzucam w swej pisaninie mocne akcenty na te zagadnienia, wysuwając w obrazach naszej dzisiejszości bohatera w postaci, nazwanej **Lichotem**. Lichot — to symbol naszego rodzimego zła, naszej mizerności, naszego zaślepienia i i ogłupienia.

Nietylko przecież z naszego klimatu, nietylko z polskiej gliny i piachu wyrasta to bujne zielsko zła, ten chwast, oset i pokrzywa: jest jeszcze **siewca-instruktor**.

Obok Lichota, za nim, przed nim, nad nim, pod nim kręci się na wszystkich terenach polskiej rzeczywistości **Srul - Pachciarz**. Dotknąłem i tej sprężynki... Postawiłem ją w odpowiedniem miejscu. I właśnie jestem rad, że z napaścią na mnie wysunęły się te tak blisko związane ze sobą, pokrewne organki: czerwony **Ekspresiak i Wiadomości Literackie**: jedna z odmian **Lichota** i jedna z odmian „kulturalnego“ **Pachciarza**.

Ten duet upewnia mnie, że „dotyk“ był trafny. Manifestując z tego powodu swoje zadowolenie, pozwolę sobie jeszcze stanąć w obronie fachu „belferskiego“, którym pomiata pismak organu pachciarskiego.

Oświadczam, że, chociaż praca nauczyciela jest ciężka i może źle wynagradzana,—jednak przyjemniej być belfrem, niż nawet dobrze płatnym wyciruchem w destrukcyjnem piśmidle.

Podsuwają mi marzenia o jakichś fotografjach w podręcznikach literatury.

Pozostawiam już wam, wytworni panowie, tę grę szlachetnej wyobraźni — fotografujcie się ze wszystkich stron! I w mykwie. I pod mykwą... I z Melcer i z Krzywicką. I z Nachalnikiem też. I sam na sam — i we trójkę. I wszyscy razem... I nagółkę. I bez pejsów. I w myckach — i bez. Pakujcie się do wszystkich podręczników — nic nie pomoże: i tak was polska ziemia zwymiotuje. Nie strawi...

Marjan Reutt

Mit XX-go wieku

Wiek XX nazwany będzie chyba kiedyś wiekiem powstawania nowych światopoglądów. Wykuwają się one w zaciętych walkach. Rodzą się z działania. Owiewa je — najczęściej — mistyczny kult siły i czynu. W podstawach ich tkwi postulat realizacji ideału społecznego. Zamyka się w tem żądanie przebudowy społecznej, drogą twórczego wysiłku. Punkt ciężkości w dziedzinie twórczego wysiłku z jednostki przesuwa się na masy. Nadaje to epoce współczesnej specyficzny charakter — ruchu masowego.

Narody całe budują sobie syntezy światopoglądowe. Powstają tedy twory oparte na uczuciu, bo masy kierują się zazwyczaj wyłącznie uczuciem. Syntezą dla mas jest wiara, ona też jest syntezą dla narodów. Tem się tłumaczy poniekąd fakt, że stosunek człowieka do świata jest dziś religijny. Występuje to w równym stopniu u idealistów, jak i u materjalistów. I jedni i drudzy bezwzględnie wierzą, że ich poglądy są odwieczną prawdą. Rozumowanie zastępują przekonaniem. Przekonanie biorą z wiary w powagi. Dla pierwszych rozstrzygającym jest autorytet Kościoła, dla drugich Marksa i Lenina.

W tem tkwi podobieństwo epoki dzisiejszej do średniowiecza. I tu i tam miało się do czynienia z panowaniem autorytetów. Ale jest w tem dzisiejszem ustosunkowaniu człowieka do rzeczywistości pewna różnica. Dziś wiara koncentruje się dokoła autorytetu jednostek wybranych, dokoła wodzów, jako reprezentantów określonej idei. Nie zawsze zresztą skonkretyzowanej. Dziś mamy religję idei i wodza, przyczem częstokroć wódz zastępuje ideę.

Kult wodza i reprezentowanej przez niego idei najjaskrawiej występuje w Niemczech. Nosi on tam charakter mistyczny. W tem pojęciu zamyka się istota ruchu hitlerowskiego, jako ruchu par excellence niemieckiego. Mistycyzm jest składnikiem duszy niemieckiej. Hitleryzm nawiązuje do mistycyzmu niemieckiego XIV-go wieku, jako do pierwowzoru. Owczesny bowiem mistycyzm był narodową reakcją niemiecką przeciwko uniwersalizmowi syntezy katolickiej. Opierał się on o pierwiastki germańskie. Cechowała go skłonność do panteizmu i do wysunięcia na czoło twórczej - jednostki, budującej rzeczywistość wewnętrznym wysiłkiem jaźni, łączącej się z Bogiem. Hitleryzm wyznaje naogół poglądy podobne. Znalazły one swoje najwyrazistsze sformułowanie w pracach Rosenberga.

ALFRED ROSENBERG

Alfred Rosenberg, oficjalny ideolog narodowego socjalizmu, jest jednym z najstarszych i najwierniejszych współpracowników Hitlera. Znajduje się w otoczeniu Führera od 1923 r., od początku ruchu. Poruczone ma swojej pieczy sprawy zagraniczne. Uchodzi wśród swoich za wielkiego znawcę stosunków europejskich i wschodu. Jest zwolennikiem Mittel - Europy. Ma pewne sympatje do Rosji, gdzie studjował na uniwersytecie. Rosję zna i rozumie lepiej, aniżeli wielu z jego współrodaków. W pracach jego spotykamy się często z oznakami głębszych studjów nad filozofją i literaturą rosyjską. Przewijają się: Dostojewski, Czaadajew, Turgieniew, Gorkij, których Rosenberg cytuje i zna dokładnie.

Mimo wielu oddziaływań obcych, pozostał jednak Rosenberg rdzennym Niemcem, chociaż mentalność jego nabrała specjalnego charakteru. Stała się czuła na oddziaływanie obcych prądów kulturalnych, ale czuła w specyficzny sposób. Rosenberg umie zrozumieć i ocenić ducha i treść obcego dla siebie zespołu zjawisk kulturalnych, ale niemi nie przesiąka. Łączy się to u niego z estetyzmem. Kocha sztukę, a specjalną czcią otacza Wagnera, który umie wznieść się do mistycznych wyżyn. Wrażliwość estetyczna pozwala Rosenbergowi rozumieć obce kultury, a kochać własną.

Poglądy Rosenberga wywierają dziś olbrzymi wpływ na Niemcy. Nie bez znaczenia zatem są te jego właściwości duchowe które mogą go zbliżać do jednych narodów, a oddalać od innych.

Jako pisarz jest Rosenberg stylistą znakomitym. Ma przedewszystkiem jedną ogromną, cenną zaletę dla pisarza politycznego: niezwykłą jasność. Najzawilsze zagadnienia filozoficzne i estetyczne wykłada zrozumiale. Czyta się go tak, jakby się rozmawiało z bardzo dobrym Znajomym. W tem tkwi urok jego książek, które nietylko się czyta, ale i przeżywa. Napisał kilka rzeczy. Z nich najwybitniejsze: „Mit XX stulecia", „Krew i honor" oraz „Bagno". Na języki obce nie tłumaczone.

MIT XX STULECIA [1])

„Mit XX stulecia" doczekał się w Niemczech 40-stu wydań i 200 tysięcy egzemplarzy. Ilustruje to dostatecznie poczytność książki Rosenberga.

„Mit XX stulecia" jest próbą ujęcia całokształtu zasadniczych dla człowieka zagadnień pod kątem współczesności. Książka germańska z ducha i ze sposobu podejścia do poszczególnych tematów. Błysnął w niej talent niemiecki do tworzenia logicznych systemów. System jest logiczny, przedewszystkiem uczuciowo.

Wyznanie wiary nowoczesnego Niemca.

Książka tętni wiarą, czynem twórczą mocą. Harmonijnie rozwijają się przed czytelnikiem, ujętym jej bezpośredniością, poruszane problemy. Uderza porządek i hierarchja. Na początku filozofja ruchu. Suma zasad, treść i esencja narodowego socjalizmu. Gloryfikacja wysiłku i twórczego uniesienia. Dalej niemiecka filozofja piękna. Problemy ideału estetycznego rasy germańskiej. Wreszcie filozofja narodu i państwa. Ogrom zagadnień politycznych, wyłożonych z dużym rozmachem.

„Mit XX stulecia" — to synteza światopoglądowa. Zamyka w sobie wszystko. Nic więc dziwnego, że dokoła niego toczy się w Niemczech zacięta walka. Mimo oficjalnych sprostowań samego Rosenberga, jest to książka utrzymana w duchu anty - kościelnym, anty - katolickim. Objawienie Kościoła usiłuje ona zastąpić objawieniem nacjonalistycznem. Religji Kościoła przeciwstawia religję krwi. W tem tkwi zasadnicza różnica między nacjonalizmem niemieckim, a polskim ruchem narodowym.

KREW I RASA

Punktem wyjścia światopoglądu hitlerowskiego jest zagadnienie rasy. Zagadnienie to nabiera w interpretacji dzisiejszych Niemców charakteru przedewszystkiem metafizycznego. Za czynnik określający przynależność rasową przyjęli oni krew. „Mit XX stulecia" rozpoczyna Rosenberg od stwierdzenia, że dziś człowieczeństwo, Kościół, osobowość ludzka i t. p. stały się tylko abstrakcjami, a nie realnemi wartościami. „Zwrot 19-go stulecia — mówi Rosenberg — w kierunku darwinizmu i pozytywizmu, był pierwszym, wielkim, czysto zwierzęcym protestem przeciwko idealnemu życiu i sile".

Rosenberg stoi na stanowisku, że prądy te poderwały wszelkie wartości kultury i obniżyły życie do poziomu zwierzęcego, widząc w niem ogół procesów fizyko-chemicznych. Człowiek został zgubiony w probówce — oto jakby się dało lapidarnie ująć myśl Rosenberga. Zadaniem jest narodowego socjalizmu znaleźć człowieka, ale nie w znaczeniu zwierzęcem, jako przedstawiciela pewnego typu, gatunku lub klasy, tylko właśnie w znaczeniu ludzkiem, jako przedstawiciela określonej rasy i narodu.

Cóż to jest rasa?

„Rasa — mówi Rosenberg — tkwi w podobieństwie dusz, jest zbiorowem dobrem zespołu podobnych jednostek i wartością samą w sobie". „Nosi ona charakter nietylko biologiczny, jak chcą przyrodnicy, nietylko materjalny, istniejący w czasie i przestrzeni, ale przedewszystkiem mistyczny, metafizyczny". „Jest czemś największem i ostatecznem, czemś, co opiera się na krwi". „Ale na tej krwi, której właściwości nie dadzą się chemicznie wytłumaczyć i wyjaśnić". „Historja ras — wywodzi Rosenberg — jest zarazem i historją naturalną i mistyką ducha, jest historją kultu krwi, największą baśnią dziejową o powstawaniu i upadku narodów, o ich bohaterach, myślicielach, wynalazcach i artystach".

W ujęciu Rosenberga pojęcie krwi nabiera specjalnego znaczenia. W niej tkwi jakgdyby iskra ducha bożego, mająca wpływ na kształtowanie się psyche jednostek i narodów. We krwi znajduje się utajona i nieuchwytna siła kosmiczna, której empirycznie się nie wykryje. Mistyczne objawienie może nam tylko dać świadomość jej istnienia. Tem tłumaczy się według Rosenberga różnica w typie rzymskim i greckim, w ich mentalności, w ich uzdolnieniach.



Alfred Rosenberg

Właściwości krwi są źródłem mitu. Mit cechuje rasę. Rosenberg analizuje drobiazgowo dzieje różnych narodów, bada przejawy ich ducha, podkreśla różnicę kultu i pojęć, i w ten sposób dochodzi do wniosku, że rasa jest czynnikiem konstytutywnym określającym charakter i duszę narodów.

MISTRZ ECKEHART

Średniowiecze odżywa, a razem z nim odradza się głęboka mistyka niemiecka. Mistrz Eckehart, jej twórca zmartwychwstaje w dziełach narodowego - socjalisty Rosenberga.

Mistrz Eckehart urodził się w r. 1260, zmarł 1327. Żył i tworzył w okresie rozkwitu katolickiej syntezy światopoglądowej. Był profesorem na Uniwersytecie w Paryżu, a od roku 1314 w Strasburgu i Kolonji. Sprawował wysokie urzędy kościelne. Oskarżony o błędne nauki, doczekał się kanonicznego procesu, który, już po jego śmierci, potępił 28 tez jego nauki. Eckehart był wielkim mistykiem i wielkim uczonym, który korzystał z dorobku pojęciowego scholastyki. Znał Alberta Wielkiego i jego ucznia, Tomasza z Akwinu.

Nauka jego uważana jest za reakcję ducha niemieckiego przeciw katolicyzmowi. Będąc kaznodzieją mówił do mas po niemiecku, w ten sposób stał się jednym z twórców niemieckiego języka filozoficznego. Pisał również po niemiecku. Światopogląd jego był germański. „W ten sposób, jawi nam się mistrz Eckehart — mówi Rosenberg — nietylko jako zatopiony w ekstazie mistycznej marzyciel, ale jako twórca nowej religji, naszej religji, wolnej od obcych pierwiastków, które napłynęły do nas z Syrji, Egiptu i Rzymu".

Rosenberg uznaje wielkiego mistyka za najwybitniejszą postać w dziejach Niemiec. Najistotniejszą częścią filozofji Eckeharta jest nauka o związku człowieka z Bogiem. W nauce tej utrzymuje Rosenberg, najpełniej wypowiedział się duch niemiecki. Na czem ona polega? Istota Boga stanowi pierwotne bezosobowe „bóstwo", którego emanacją są osoby boskie. Istotę Boga określa Eckehart pojęciem „Jego dna, źródła, korzenia, podstawy" Wszystkie istoty wyłoniły się z Boga, bo Bóg musi tworzyć i upowszechniać się", gdyż na tem polega jego boskość. „Bóg jest światem"... „Świat jest Bogiem". Bóg jest nosicielem idei świata. „Materja jest tem, co stanowi naturę rzeczy". Materjalny świat, według Eckeharta, istnieje poto, żeby człowiek mógł poznać Boga: dusza bezpośrednio nie może patrzeć na Boga tak, jak oko nie może patrzeć na słońce. Historja świata realizuje się zgodnie z planem Boga, co nie wyklucza swobody działania człowieka.

Celem spekulacji Eckeharta było wykazanie, że dusza ma boskość, bo „dno", a zatem jej istota, jest boskie i jest niestworzone. „Dusza nie rodzi się z ciałem, a jest jakby wlewana w stanie gotowym w istotę cielesną człowieka: dusza jest formą ciała". W ten sposób dusza może oglądać Boga, jeżeli skupi się w swojej istocie. Oglądając Boga dusza upodobnia się do niego. Następuje to, co Papini nazywa przebóstwieniem człowieka. W takim stanie człowiekowi niepotrzebna jest moralność, gdyż będąc podobnym Bogu, sam ze siebie zdąża ku prawdzie i dobru.

Nawiązując do Eckeharta, dowodzi Rosenberg, że zasadniczym pierwiastkiem duszy ludzkiej jest siła. Dusza składa się sama, jak uczył Eckehart, z trzech sił: woli, rozumu i pamięci. Wola jest wolna. Swobodnie kształtuje ona rzeczywistość w myśl wskazań rozumu. „Krócej mówiąc — powiada Rosenberg — wszystko, co może przedsięwziąć dusza, jest określone właściwościami twórczemi woli, która musi się łączyć z najwyższem dobrem, ponosząc za działalność swoją bezwzględną odpowiedzialność". „Źródło zła tkwi w niewłaściwie skierowanej woli" — mówi Eckehart. Wolą musi kierować miłość. „Kto najbardziej pragnie, ten najbardziej kocha" — słusznie zauważa Eckehart Wola musi dążyć do realizacji miłości, o ile jest kierowana rozumem. Tkwi w duszy człowieka pewna, jak mówi Eckehart, „iskierka" której źródłem jest Bóg „Iskierka" ta jest częścią duszy, będącej owym „dnem", a więc pochodzącej wprost od Boga. Rozdmuchana mistycznem uniesieniem wybucha ona pożarem Dobra, Piękna i Miłości, łącząc się tą drogą z istotą duszy, czyli jej „dnem", a więc i z Bogiem.

Zdolność do mistycznych uniesień — utrzymuje Rosenberg — stanowi zasadniczy pierwiastek rasy i kultury germańskiej. „Odważamy się twierdzić, że dzisiaj owa „iskierka" wystąpiła jako wszechpożerający ogień, jako metafizyczna jednia honoru i wolności". „Honor i Wolność, to nie są bynajmniej zewnętrzne cechy, ale to są absolutne, nieograniczone czasem i przestrzenią zasady, z których wypływa Siła. Daje ona niezłomną wolę i głęboki rozum, zdolne do przebudowania współczesnej rzeczywistości" — oto słowa Rosenberga.

ESTETYKA I ŚWIATOPOGLĄD

Sztuka, obok religji, jest źródłem, które dało możność Niemcom przejawienia swojej indywidualności narodowej. Sztukę niemiecką, jeśli chodzi o literaturę, cechują dwa momenty: indywidualizm i tendencje filozoficzne. W duszy niemieckiej zawsze łączyła się refleksja z natchnieniem. Niemiecki poeta był filozofem, estetą lub nawet, jak Goethe, uczonym. Sztuka w Niemczech łączyła się z filozofją i dzięki temu była odbiciem nastrojów i poglądów, nurtujących w społeczeństwie. Miało to miejsce w dużo większym stopniu, niż gdzieindziej. Tak było dawniej i tak jest dzisiaj.

Wobec tego momenty estetyczne zawsze wywierały duży wpływ na kształtowanie się światopoglądu Niemca. Narodowy socjalizm i tej dziedziny nie pozostawił odłogiem. Myśl hitlerowca ustami Rosenberga wypowiedziała tutaj swoje poglądy.

Spróbójmy uchwycić ich istotę. Rosenberg powiada: „Przeminął już okres obszernych systematów w dziedzinie estetyki. Przewaga pracy analitycznej na wszystkich odcinkach twórczości dała nam długie panowanie, dzięki obszernym dziełom z zakresu istoty sztuki i estetycznego odczuwania. Wykonano ogromną pracę umysłową, ale nikt dziś nie czyta ani Zimmermanna, ani Hartmanna, jak również Fechnera, Külpe'go, Groos'a, Lippsa, Muller - Freienfelsa, Moos'a i wielu innych. Poglądów Winckelmanna i Lessinga nikt dziś nie bierze pod uwagę. Schillera, Kanta i Schopenhauera ogół czci dziś tylko z imienia".

Sztukę i myśl estetyczną 18-go wieku cechował, według Rosenberga, rozdźwięk między teorją i praktyką. Występowało to w równym stopniu u Goethego, jak i Schillera lub Schopenhauera. Wiek 19-ty natomiast grzeszył w dziedzinie estetyki tem, że „nie przywiązywał wagi do dzieła twórcy, ale do jego słów". Traktował więc sprawę formalnie. Stąd sądy jego w tej dziedzinie były powierzchowne.

Ten wniosek wyprowadza też i Rosenberg. Dzięki temu wpływ estetyki na życie, mówi Rosenberg, był nieznaczny. „Prawie wszyscy filozofowie — mówi Rosenberg — którzy pisali o stanowisku estetycznem lub o trwałych wartościach w sztuce, przeszli ponad faktem rasowego ideału piękna, zawartego materjalnie w dziele sztuki, jak również i nad wysokiemi wartościami, jakie daje sztuce dusza rasy". „Każda linja — dowodzi Rosenberg — otrzyma w sztuce chińskiej inną funkcję, niż w greckiej". Bez określenia woli twórczej rasy niepodobna należycie ocenić dzieła sztuki. „Każde bowiem dzieło sztuki zawiera jakąś duchową wartość".

Oczywiście — w doktrynie Rosenberga — na tę wartość składa się dusza rasy, z której twórca pochodził i której zawdzięczał swoje właściwości psychiczne. Tu leży też jego zdaniem źródło bezpłodności, w pewnym sensie oczywiście, dotychczasowej estetyki. Nie umiała ona dotrzeć do istoty rzeczy, gdyż nie uwzględniała najważniejszego czynnika twórczości — rasy. Rosenberg podkreśla bardzo mocno znaczenie wychowawcze sztuki i uważa odczucie piękna, kultywowanie niemieckiego ideału piękna i niemieckiej sztuki za jeden z obowiązków Niemca. Poczucie piękna, według niego, to jedno z ważniejszych kryterjów oceny duchowego rozwoju człowieka.

NARÓD I PAŃSTWO NARODOWO - SOCJALISTYCZNE

Na zakończenie jeszcze kilka słów o problemie państwa u Rosenberga, który widzi w tem zagadnieniu czczy i jałowy formalizm cechujący XIX wiek. Panujący pogląd Hegla, że państwo jest celem samo w sobie i jest czemś absolutnem, raził swoją beztreściwością. Narodowy socjalizm zrywa z tym poglądem. Uważa on za fikcję rzeczywistość państwa, które jest tylko pojęciem prawnem.

„Państwo — powiada Rosenberg — nie jest dziś dla nas jakimś bożkiem, przed którym wszyscy mają leżeć w prochu; państwo nie jest także dla nas celem, ale jest tylko środkiem rozwoju i utrzymania narodu. Jest to jeden ze środków, jak Kościół, prawo, sztuka, nauka. Formy państwowe się zmieniają, prawa państwa przechodzą, naród trwa. Z tego już wynika, że naród jest czemś pierwszem i ostatecznem, czemu wszystko inne podlegać musi. Z tego także wynika, że nie powinno być żadnych przedstawicieli państwa, tylko narodu".

Jako bardzo istotne w teorji Rosenberga pozostaje jeszcze zagadnienie wolności. Stanowi ono dziś poważny argument za taką, czy inną formą rządu. W dzisiejszych czasach treść tego pojęcia uległa zasadniczej zmianie. Dziś wolność nie oznacza wcale swobody od władzy państwa. „Idea wolności, — powiada Rosenberg, — którą otrzymujemy przy uwzględnieniu autorytetu w ramach dzisiejszego rasistowsko - duchowego światopoglądu, nabrała całkiem innego charakteru".

Rosenberg bada ten charakter drogą analizy grupy etnicznej, zamieszkującej dane państwo. Grupa ta składa się z różnych pod względem rasowym elementów, przy przewadze jednak jednej rasy. Rosenberg określa ją pojęciem rasy głównej. Według niego narzuca ona życiu określony charakter, nadaje państwu styl, tworzy swoistą sztukę i kulturę. „Taka dominująca rasa — wywodzi Rosenberg — tworzy określony typ człowieka. Prawdziwa, organiczna wolność jest możliwa tylko w odniesieniu do takiego ukształtowanego typu. Wolność ducha, jak i wolność osobista ma tu określoną postać. Granice tej wolności są plastycznie oznaczone i uzależnione od przynależności rasowej. Rasa zaś ta jest odbiciem odpowiadającej jej duszy".

W ten sposób, według Rosenberga, wolnym może być ten, kto ma pewien rodzaj świadomości, dającej gwarancję, że wolności źle nie użyje. Wiąże tu Rosenberg taką świadomość z określoną rasą. Oczywiście kryterja mogą tu być bardziej szczegółowe.

WIARA

Znakomity psycholog amerykański, James, powiada: „Wiara jest jednym z nieodzownych przedwarunków urzeczywistnienia swojego przedmiotu. Zdarzają się przeto wypadki, w których wiara stwarza swoją własną weryfikację. Wierzcie, a będziecie mieli słuszność, gdyż osiągniecie zbawienie; poddajcie się zwątpieniu, a będziecie również mieli słuszność, gdyż zguba was nie minie. Cała różnica polega na tem, że o wiele korzystniejszą jest dla nas rzeczą — wierzyć".

Niemcy hitlerowskie — wierzą. W tem tkwi ich siła, dla sąsiadów zaś wskazanie, aby lepiej i dokładniej zdawali sobie sprawę z tego, czem jest ta wiara niemiecka i z jakich źródeł płynie. Książka Rosenberga jest tej wiary katechizmem, najbardziej wartym poznania.

[1]) Alfred Rosenberg. — Der Mythus des XX Jahrhunderts. 1934. Hoheneichen - Verlag München. str. 712.

S A T Y R A

Zygmunt Jurkowski

Kobiece ptactwo

Spośród rozlicznych gatunków kobiecego ptactwa, najbardziej zasługują na uwagę „kobiety podśpiewujące". Gatunek ten zamieszkuje Europę środkową i zachodnią a głównie Warszawę. Zimuje w kraju a za pokarm służą tym ptaszkom płyty naśpiewywane przez znanego ptasznika Faliszewskiego. Gnieżdżą się zazwyczaj w Italji, Adrji, względnie Café-Club. Są to, między nami mówiąc, urocze stworzenia: upierzenie przeważnie blond, nosek lekko zadarty, albo jeśli wolicie włoski krucze, a nos kaczy, w każdym razie ten rodzaj ptactwa jest najbardziej smakowity, jeśli tylko brać pod uwagę przeciętne wymogi konsumenta.

Istoty te mają tę właściwą ptakom zaletę, że zamiast mówić, śpiewają. Niektórzy to lubią, inni na odgłos melodji wyją (ja osobiście należę do tych ostatnich), ale cóż, różni bywają odbiorcy. W gniazdku tokującej ptaszyny jest dość przyjemnie i niefrasobliwie: w jednym rogu tapczan, na którym leżą pajacyki i pieski z włóczki, w drugim rogu gramofon, w trzecim kubełek, a w czwartym siedzę ja i powiadam:

— Łaskawa pani, przyszedłem panią odwiedzić.

Ptak wytrzeszcza na mnie zielone oczy, mruga długiemi na pół cala rzęsami i śpiewa:

— „O pójdź, kochanku mój, blade usta daaj".

— He, he... pani to zawsze weselutka, — przerywam lekko strapiony — widać się pani nieźle powodzi.

„Kobieta podśpiewująca" porusza przecząco blond głową i nuci:

— „Albo bardzo dobrze, albo bardzo dobrze, albo źleeee".

— Oj, czyżby pani coś dolegało? — pytam z udanem zatroskaniem.

Ptaszyna nie przestaje poruszać główką przecząco i tokuje dalej:

— „Mam chłopczyka, na Kopernika"....

— A tu cię boli — wykrzykuję, uderzając się dłonią po udzie — a więc zawód miłosny?

— „Adieu! skończona gra"...

— Więc aż tak? Bardzo pani współczuję.

— „Kto inny nie umiałby tak dręczyć do łez... Kto inny zrozumiałby, że wszystko ma swój kres"...

— A cóż na to mamusia szanownej pani? — zapytuję ni w pięć, ni w dziewięć.

— „Jedynie serce matki rozkosza dziwną tchnie"... — odśpiewuje mi na to biedna ptaszyna.

Żal mi jej ale wreszcie mam tego dosyć i zbieram się do odejścia.

— „Ach, nie odchodź odemnie, będę czekać nadaremnie"... — tokuje dalej miłe stworzonko, poruszając biodrami artystycznie.

Zapewniwszy ją, że koniecznie muszę już iść, żegnam się, wkładam palto. i wychodzę.

Na schodach goni mię jeszcze ostatnia piosenka biednej ptaszyny:

— „Idź! nie wracaj, jak mątwa upiorna i t. d.".

I rzeczywiście, po co wracać. Choć miłą jest kobieta, wino i śpiew, ale nie śpiew do słów Własta.

Istnieje też inny gatunek ptactwa, wyhodowanego w cieniu sali kinowej. Jest to kobieta - Feniks, ptak, który zmienia swą postać w zależności od tego, co grają w kinach.

W okresie wyświetlania filmów z Marleną Dietrich, kobieta - Feniks zmienia się do niepoznania. Głos jej staje się coraz niższy, oczy nabierają sennego wyrazu, rzęsy wydłużają się nieprawdopodobnie. Staje się coraz bardziej tajemnicza i jakgdyby zapatrzona w siebie. Podczas pełni księżyca, od czasu do czasu, dochodzi z jej pokoju złowieszcze wycie niskiego kontr - altu. To dusza Marleny wstępuje w zapowietrzoną. Trzeba obchodzić się z taką ostrożnie, aby broń Boże jej niczem nie zdenerwować.

W razie pogarszania się stanu chorobowego, należy natychmiast wezwać weterynarza, względnie zaprowadzić chorą na film z Franciszką Gall. Wówczas kobieta - Feniks przeistacza się w trzpiotkę, wpina sobie we włosy kokardę, trzepoce się i podskakuje i jest ruchliwa, niby pisklątko. A czasem rzuci się człowiekowi na szyję, zajrzy w oczy i zawoła:

— Wiesz! Ty jesteś prawie tak przystojny, jak Bodo!

Gatunek ten pochodzi z Ameryki Północnej i zamieszkuje całą kulę ziemską, żywi się taśmą filmową i podłemi scenarjuszami.

Trzecią ciekawą odmianą kobiecego ptactwa, jest ptak wodno - górski, zwany „sportgirl". Jest to jakgdyby połączenie domowej gęsi z górską orlicą. Gatunek ten lęgnie się w uzdrowiskach, a rozwija się na warszawskich bieżniach i w basenach. Daje się łatwo złowić w auto, motocykl, kajak albo nawet w zwyczajną siatkę tenisową. Żywi się dyskiem i piłkami. Posiada jaskrawe, włóczkowe upierzenie, nogi dalekobieżne i płową, wypełzłą na słońcu czupryne.

Celem tego gatunku jest walka z napastnikami, przeważnie uwieńczona laurami zwycięstwa.

Znając mowę tych ptaków, podsłuchałem kiedyś na ulicy następujące szczebioty:

— Wiesz, Jadźka, idę sobie kiedyś ulicą w kierunku naszego boiska, aż tu podchodzi do mnie jakiś starszy jegomość, nawet dość przystojny i mówi: „Czy pani pozwoli że ja odprowadzę", a ja mu na to: — „Dziękuję panu, ja i sama trafię", a on na to: — „A może jednak", a ja na to: „Niech się pan odczepi, nie wiem nawet kto pan jest", a on na to: „Pozwoli pani, że się przedstawię, jestem Kaden - Bandrowski". Przez chwilę pomyślałam sobie, kto to może być? Był taki w „biegach naprzełaj o podobnem nazwisku, ale nie byłam pewna, więc pytam go prosto z mostu: „A pan z jakiego klubu, z Makkabi, czy z Ymcy, czy też może z W. T. W.?" A on powiada: „Z T. K. K. T.". To ja już widzę, że buja, bo niema takiego klubu i powiadam: „Odczep się pan, bo dam panu w ciemię". Coś tam jeszcze ględził, mówił, że zna Wierzyńskiego (tego co to na Olimpjadzie w Los Angeles przyszedł pierwszy), ale ja mu już nic nie wierzyłam. Wreszcie sobie poszedł. Ale wiesz Jadźka, strachu się najadłam, bo sama byłam jedna na pustej ulicy, no ale nie uległam.

— Brawo! — zawołałem, doczekawszy się tej pointy. — W zdrowem ciele, zdrowy duch! — Ptaki frunęły spłoszone, świergocąc CIWF, CIWF, CIWF!

Janusz Minkiewicz

Aktualja

Jeden z wtajemniczonych, który dowiedział się przypadkiem, że istnieje jeszcze w Warszawie zakonspirowane pismo o dziwnej nazwie „Pion", dostarczył mi ostatni numer tego tygodnika. Przeglądając z niedowierzaniem zjawiskowe karty jednego z tak rzadko spotykanych egzemplarzy tego pisma, natknąłem się na artykuł, który wywołał u mnie atak histerycznego śmiechu.

— Jakto? — pomyślałem sobie — czyżby ten „Pion" wprowadził także kolumnę satyry na swoje łamy? Jeśli tak, jest to niewątpliwie najśmieszniejsza z wszystkich tego rodzaju kolumn.

Po chwili jednak śmiech mój zmienił się w przerażenie. Okazało się, że czytam poważny artykuł. Autor: Michał Rusinek — zdolny doniedawna powieściopisarz, obecnie szef biura P. A. L. (Polskiej Akademji Literatury). Co się jednak stało z utalentowanym dawniej prozaikiem z chwilą, gdy objął rządową posadę, pokazuje nam jego reportaż z uroczystego posiedzenia Pol. Akad. Literatury p. t. „Rok przy literackim stole".

Zaraz po wstępie nienadającym się do zacytowania pisze pan Rusinek:

„Spodziewali się słuchacze wyniosłych ozdobnych foteli a tu na takiem zwykłem krześle siedział gospodarz tego pałacu, siedzieli dwaj jego przyboczni dygnitarze, sztab literacki, a naprzeciw cały Rząd Najjaśniejszej Rzeczypospolitej, ministrowie krajów sprzymierzonych i trzystu co znaczniejszych ludzi z kraju".

Właściwie, to siedzieć powinien tylko pan Rusinek. A to, za idące zaraz potem takie zdanie:

„Tylko na czele sali stał wynioślejszy nad wszystko jeden jedyny fotel. Jeden Jedyny.

Siedziało w nim trzydzieści i trzy miljony ludzi".

Pan Rusinek świadomie wprowadza czytelnika w błąd. Ogólnie przecież wiadomo, że tylko jeden w Polsce człowiek może pomieścić m. inn. w siedzeniu tyle ludzi. A człowieka tego na posiedzeniu Akademji nie było.

Czytamy dalej:

„Jedni i drudzy rozdzielili się stołem. Z tamtej strony przy ścianie usadowiło się kilkunastu, a z tej siadła niejako przy stole ława ludzi".

Ciekawy obrazek stolarski: przy stole siada ława. Teraz następuje referat o stole:

„Stół ten był na nic niepotrzebny. Nikt na nim nie napisał dziś ani słowa. Stał chyba, aby tamtych przykryć do połowy, osłonić i przygasić żenujący odblask zdobiącej piersi gwiazdy.

A jednak stał stół, choć niepotrzebny.

Postawili go dłużyzną wpoprzek sali, by się wydawało, że wszyscy ci wielmożni, tak czy inaczej znaczni, zwierzchnicy i podwładni siedzą przy jednym stole. Postawili go na to, by tu każdemu na oczach, wywyższony na podjum, odświętnie, gładko przyodzian, jako w dzień uroczysty, czczony przez wszystkich warsztat i narzędzie pracy.

Jak górnik święci swą lampę i kilof, jak inny sierp jako symbol wynosi, trzeci się młotem szczyci, tak wszyscy, iluś tu widział ludzi, czcili zwykły prosty sprzęt, stół od wieków jednakowy, na którym się rodziła i rodzi wielość najpiękniejszego i najmędrszego człowieczego tworzywa".

Powyższa wizja poetycka wymaga stanowczo profesorskiego komentarza.

Poeta uważa, iż tak jak górnik święci swą lampę, tak człowiek pióra winien święcić stół. (Wyraźnie stół, a nie jakby się czytelnikowi z niejasnej metafory zdawać mogło: stołowe nogi). W zdaniu „...na którym się rodziła i rodzi wielkość najpiękniejszego i najmędrszego człowieczego tworzywa" poeta chce wyrazić swój pogląd, że człowiecze tworzywo, czyli jak się należy domyślać utwór literacki, może się urodzić tylko na stole. Widzimy więc, że hipotezy jakoby literaci tworzyli przy biurku, okazują się zupełnie mylne.

Ale oddajmy lepiej głos poecie:

„Więc stół stał w środku sali, w środku ciszy.

Poruszyła się na nim karafka. Poruszyła się w niej woda. Zdawało się. Poruszył się tylko za karafką, siwy, niski człowiek".

Znów potrzebny komentarz. Ten niski człowiek, to Sieroszewski. Niech się więc nikomu nie zdaje, że poeta chce go nabić w karafkę... Przeciwnie, poeta ciągnie dalej:

„Przez baniastą soczewkę karafki przewiecała jego biała koszula, a tuż obok na skraju odświętnego ubrania metalowa gwiazda. Litery były na niej pośrodku:

A. L.

Akademja Literatury — czytał niski człowiek — powstała jako pion, według którego mają się krystalizować wszystkie zainteresowania i potrzeby literackie".

Tego już najbystrzejszy komentator nie zrozumie. Westchnie nietylko z podziwu nad „stylem kwiecistym", który doprowadza do tego, że **pion krystalizuje**. Dotychczas pion nudził, ględził, denerwował, bzdurzył, a teraz krystalizuje. Brawo! Za to należy się rzymska **piontka**.

Wracajmy jednak do dalszego ciągu. Właśnie Sieroszewski

„skończył. Poruszyły mu się w rękach drgające kartki papieru. Rzecz łatwa zdaleka, jakże trudną wydaje się zbliska. Człowiek ten łamał dawniej w więzieniu ławy, w dalekich ostępach ziemi wygnańców dźwigał w mężnych garściach nadludzki trud fizyczny, niewolę nosił na sobie conajcięższą, a tu dziś przy tylu bliskich, swoich ludziach, mimo niepożytej swej krzepkości ledwie mógł unieść w rękach cztery kartki.

Wymienili się teraz mówcy.

Karafka skryła siwą głowę a z boku powstał drugi człowiek. O wiele od tamtego młodszy. O wiele ostrzejszy w rysach. Nie miał, jak tamten, uśmiechu na twarzy, tylko surowe, ostre bruzdy.

Czytał sucho.

To a to zrobili. Jedno całkowicie ukończyli, o drugiem myślą dopiero. Tamto udało się, to powiodło, gdzieindziej próba nie wytrzymała. Broni ich wszakże okoliczność, że prace mają sięgać w głębie spraw literatury i kultury, nieobliczane są przeto ani na efekt, ani natychmiastowość skutków.

Gdy przyszli do tego stołu pracy, mieli jedynie w ręce szary, zadrukowany papier z niedużym na tytule orzełkiem. Monitor Polski z dnia 11 październ'ka ubiegłego roku numer taki i siaki, pozycja taka i siaka".

Gdybym miał trochę ochoty i czasu, zawołałbym do poety: — A, ty taki i siaki! Ale nie mogę, bo muszę właśnie cytować ustęp taki (i siaki):

„Znakiem wypisanym na srebrnej korporacyjnej gwieździe wyróżnią zbiorowe wydanie nieżyjącego pisarza, który uśmiechał się „grzechom dzieciństwa", bawił pokolenia „Lalka", sam sobą wielki i mocny „jako przepyszny konar z samego pnia polskości".

Tu już panu Rusinkowi nie starczyło fantazji, bo odesłał nas do takiego (i siakiego?) odnośnika:

Ostatnie zdanie zapożyczone ze wstępu Pol. Akademji Literatury do nowego wydania dzieł Prusa, przygotowanego przez firmę Gebethnera i Wolffa pod znakiem Akademji.

Pomysł zupełnie nowy i oryginalny. Czyżby jednak nie lepiej byłoby go zreformować i zapożyczyć niejedno zdanie, lecz cały reportaż z jakiegoś normalnego sprawozdania dziennikarskiego.

Wróćmy znowu do reportażu pana Rusinka. Dowiadujemy się, że Kaden skończył nareszcie.

„Po nim miał mówić trzeci. Nie było go na sali. Nagle krzesło za stołem raziło oko szczerbą".

Właściwie możnaby napisać: „Szczerbate krzesło za stołem raziło oko nagością". Ale idźmy naprzód. Posłuchajmy głębokiej myśli o chorobie:

„Choroba, wróg wszelkiej pracy, nieprzyjaciel człowieczej woli, planów i zamierzeń zatrzymała w domu tamtego. Siedział w tej chwili w dawnej stolicy kraju, u stóp najpiękniejszego kościoła na tej ziemi i przez metalowe uszy słuchał w łóżku mowy przez siebie pisanej, przez kolegę mówionej".

Tableau! Biedny akademik siedzi w łóżku pod kościołem, a zdziwieni przechodnie przyglądają się jego dziwnym, metalowym uszom, jednak znaleziono sposób na to, aby nie stał się on widowiskiem dla gapiów:

„Nakryto... roztrzepotanym klaskiem i przesłano brawo poprzez metalowe, świecące na stole kółko, pięćdziesiąt mil na południe od łóżka chorego człowieka, o którym nikt nie wie jak wyglądał w tej chwili, oprócz żony i trzech dorastających synów".

Jesteśmy strasznie zaintrygowani: Nakryto go roztrzepotanym klaskiem... Może to pomyłka druku? Może nakryto go kaskiem? Nie! Kask chyba nie bywa nigdy roztrzepotany. Zaczynamy się denerwować. Może w takim razie okryto go laskiem. Przecież mały lasek, gdy wiatr powieje, to liśćmi trzepoce! Ale laskiem ponoć człowieka, tego stworu jakże małego wobec wielkości przyrodzenia, okryć niepodobnaż? O, gdybyż można było śmiertelnikowi przeniknąć otchłanne gąszcze panarusinkowego sekretu!

Hej, duszo człowiecza! Jakże przepastne w swem igliwiu tajemnem kryjesz zawiłości...

Lekcja gimnastyki: ćwiczenie nr. 1



Rys. Z. Jurkowski.

Powolne skręty tułowia ze skłonem wprzód. Uwaga: ćwiczenie to rozwija monumentalne kształty. (Pomniki Prowiska, Chopina i Kopernika).

Odpowiedzi działu satyry

Kinomanjakowi. Zapytuje Pan, kiedy się wreszcie ukaże tak długo i szumnie reklamowany film p. t. „Zamach na Skałłona". Komunikujemy ze smutkiem, że sprawa tego filmu jest bardzo niepewna, a to z powodu braku protektora. Ani pani Filipowiczowa, ani pani Krahelska, prawdziwe uczestniczki zamachu, nie raczyły objąć nad owym filmem protektoratu. Ponadto wyszło najaw, że ani pan Znamierowski, ani pan Heiman, twórcy tego filmu, nie brali udziału w konspiracji w roku 1905, gdyż należeli wówczas jedynie do mniejszości. Stąd usterki i wykoszlawienia w filmie, który przedstawia Polaków bardzo ujemnie, a moskali dodatnio. Gdyby się znalazł batiuszka Car Mikołaj, to mógłby nietylko objąć nad filmem protektorat, ale nagrodzić jego wykonawców medalem za „uśmiercenje polskawo miatieża". Niestety, Cara niema. i nie wiedzieć, gdzie go szukać. Dopóki się zatem batiuszka nie znajdzie, film wyświetlany nie będzie. Tak wygląda „wyświetlona" sprawa drugiego nieudanego zamachu na Skałłona.

Konserwatorjum i Cyrk



Rys. J. Umińska.

Tydzień książki

WEDŁUG DANYCH ZJEDNOCZONYCH ORGANIZACYJ KSIĘGARSKICH

BRZESKI K.: Gurewicz i Spółka. Satyr. skecze. 8° str. 24. Warszawa 1934. I Rzepecki. Zł. 0.70.

BRZESKI K.: Na ławce. W Sądzie. Skecze. 8° str. 20. Warszawa 1934. I Rzepecki. Zł. 0.70.

BRZESKI K.: U fotografa. Bilard. Skecze. 8° str. 23. Warszawa 1934. I Rzepecki. Zł. 0.70.

BYLICA Z.: Japonja chce uderzyć pierwsza. 8° str. 82. Warszawa 1934. Wyd. „Tom". Zł. 1.20.

CENTKIEWICZ C. J.: Wyspa mgieł i wichrów. Pierwsza polska ekspedycja narodowa roku polarnego. Z ilustr. 8° str. 314. Warszawa 1934. „Rój". Zł. 10.—.

GĄSIOROWSKI WACŁAW (Wiesław Sclavus): **Anarchiści.** Wyd. 3-cie. 8° str. 210. Warszawa 1935. Dom Książki Polskiej. Zł. 4.50.

GLASNER A. dr.: Wzory umów i innych aktów prawnych według ustawodawstwa zunifikowanego. Wzory zgłoszeń do rejestru handlowego. Ustawa o opłatach stemplowych. T. XXVI, 1091. Kraków 1935. Księgarnia Powszechna. Opr. Zł. 25.—.

KORABIEWICZ W. dr.: Kajakiem do minaretów. Z ilustr. 8° str. 262. Warszawa 1935. Główna Księgarnia Wojskowa. Zł. 4.80.

KRZEPKOWSKI M.: Rozbitkowie z Czeluskina. Z 10 ilustr. i mapą. 8° str. 84. Warszawa 1934. Gebethner i Wolff. Zł. 1.10.

LEJA FRANCISZEK prof. dr.: Geometrja analityczna. I. Początki geometrji różniczkowej. Ze 133 fig. i około 500 ćwiczeń. 8° str. 227. Warszawa 1934. Gebethner i Wolff. Zł. 9.—.

LEONOW L.: Złodziej. Przełożył S. Leśniewski. T. II. 8° str. 260. Warszawa 1935. „Rój". Zł. 3.—.

LIPIŃSKA BR.: Obrazki sceniczne z 4 ilustr., 8° str. 62. Warszawa 1934. Gebethner i Wolff. Zł. 1.20.

MAKUSZYŃSKI K.: 4 Księga przygód Koziołka Matołka z ilustr. M. WALENTYNOWICZA. 8° str. podł. 20 nlb. Warszawa 1934. Gebethner i Wolff. Zł. 3.50.

MARCZYŃSKI ANT.: Czarci jar. Powieść. Wyd. 3-cie, 8° str. 379. Kraków 1935. Gebethner i Wolff. Zł. 4.

Nasza walka o szkołę polską 1901 — 1917. Opracowania, wspomnienia, dokumenty zebrała Komisja Historyczna pod przewodnictwem prof. **dr. B. NAWROCZYŃSKIEGO,** t. II, 8° IV str. 591. Warszawa 1934. Nasza Księgarnia. Zł. 12.

NATANSON WŁ. dr. Widokrąg nauki, 8° str. 269. Lwów 1934. Książnica-Atlas. Zł. 5.

PODOSKI JERZY: Pistolet w walce i sporcie, z ilustr. M. Wodnickiego, 8° str. 126. Warszawa 1935. Główna Księgarnia Wojskowa. Zł. 2.50.

Czemu sercu smutno?

Bo pewnie nie było jeszcze na „Szopce Politycznej" Światopełka Karpińskiego i Janusza Minkiewicza w teatrze „Nowa Komedja", Karowa 18. Codziennie dwa przedstawienia o godz. 7.30 i 9.30.